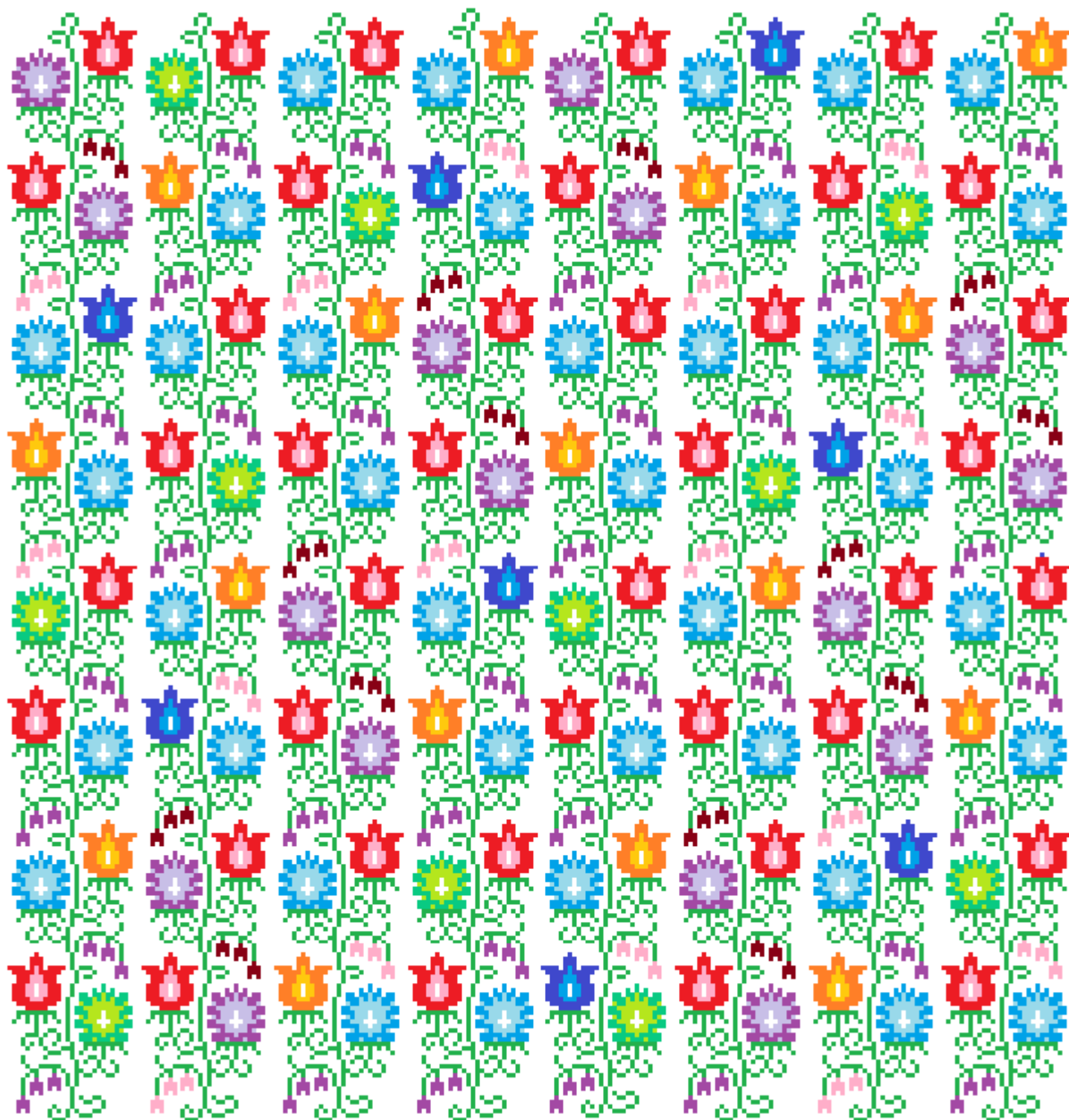


MARGINES

MARZEC 2019

SZKOŁA · UCZNIOWIE · PRASA

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY
NAKŁAD WŁASNY



W numerze:

- 2 Zasada trzech jedności
- 2 Dlaczego humor millenialsów jest taki dziwny?
- 3 Teoria względności napadu
- 4 Jak podrywać **SEXY** laski
- 4 Alita na wielkim ekranie
- 5 Na guziki pasmanterii krakowskiej
- 5 Recenzja Havit G1 (TWS)
- 6 Współcześni jeźdźcy apokalipsy

Zasada trzech jedności

Patryk Brzezoń

Zasada trzech jedności, czyli o dramacie słów kilka

Luty jest niezwykle ciekawym miesiącem, miesiącem cudownych zmian, które znacznie oddziałują na nasze życie. Jest to miesiąc, cudownie prezentujący nasz dzisiejszy świat w całej jego okazałości, pięknie uwydatniając absurd, które go okalają. Najwięcej można zarzucić walentynom, to przecież wspaniały czas, w którym zakochani jeden dzień w roku chwalą się swoją miłością na wszystkich portalach społecznościowych, dumnie umieszczając tam całe albumy zdjęć ze sztucznie pozowanych sytuacji. Wszystko to po to, by zyskać w oczach znajomych, a w szczególności tych, którzy „drugiej połowki” nie mają oraz w celu podniesienie swojej samooceny. Często usłyszeć też można, że pewna para wdała się w sprzeczkę, ponieważ jedna ze stron nie zorganizowała nic szczególnego w ten jakże wyjątkowy dzień. Ludzie, może się wydawać, że zapominają o tym, jak prawdziwa miłość wygląda, a nietrudno spotkać osoby, dla których wyżej opisany dzień jest jedynym czasem, kiedy powinno się okazywać miłość drugiej osobie, zupełnie nie zważając na fakt, że jest to uczucie, które należy celebrować przez cały rok, a nie tylko przez jedną, „magiczną” dobę. Może to jest właśnie współczesne mimesis? Może teraz ludzie zamiast kochać, pragną sprawiać pozory, że kochają? Naśladować swoje instagramowe wzorce i ich śladami podążać? Czy dzisiaj od piękna i woni róży bardziej cieszy polubienie jej zdjęcia na Facebooku przez którąś z dwudziestu oznaczonych koleżanek? Czy brak takiego wpisu oznacza też, że danej osobie brakuje miłości, czy że jest skromna? Może to otrzymanie polubienia jest odpowiednikiem antycznego katharsis i jednocześnie ulgą, że ktoś zauważył, jak cudowne, bez troskie i wypełnione po brzegi miłością życie prowadzimy? Zaraz po imieninach Walentego przychodzi czas na następne „święto”. Dzień singla, zaledwie następny dzień. Role odwracają się. Portale społecznościowe zostają bombardowane przez „samotne” osoby i choćbyśmy nie wiadomo jak bardzo



się starali, nie ominiemy tych komentarzy opowiadających, jak wspaniałym jest żywot bez tej „jedynej” osoby przy boku. Ludzie czczący ten dzień, najczęściej próbują jedynie zatuszować tym smutki, wyrządzone wszechobecnymi postami dnia poprzedniego. Często da się zauważyć, że te osoby przez większość roku narzekają na swoją sytuację, a wieczory spędzają na oglądaniu seriali Netflixa, mając w pogotowiu kubek lodów. To niesamowite, jak przez jeden dzień większość ludzi sztucznie zmienia swoje zachowanie, chcąc ukryć uczucia przed innymi, by następnie zaledwie kilka dni później wrócić do stanu sprzed „Dnia singla”. Wartym wspomnienia jest również pewien czwartek, określany mianem tłustego. Ludzie wstają wtedy specjalnie wcześniej, tylko po to, żeby pojechać do cukierni i kupić niezbędny prowiant przed wszystkimi innymi. Sklepy zapełnione są pączkami i faworkami, a w mniejszych punktach czasem trudno kupić coś innego. Wszyscy zachowują się tak, jakby nie wiedzieli o istnieniu tych wyrobów przez pozostałe 364 dni roku, a akurat pod koniec lutego wykupują wszystkie zapasy i jedzą tyle, ile tylko zmieszczą. Czy to ma sens? Czy sklepy nie są wyposażone w pączki każdego innego dnia? Kolejki w sklepach i cukierniach są irracjonalne, a następnego dnia każdy nagle przestaje jeść niezdrowo i „bierze się za siebie” tylko po to, by za rok historia się powtórzyła. Luty to bez dwóch zdań miesiąc, w którym wiele się dzieje, jednak to, jak ludzie zachowują się podczas pewnych wydarzeń, utwierdza mnie jedynie w przekonaniu, że to, co widzę na co dzień, zdecydowanie można nazwać dramatem – pozostaje jedynie zadać pytanie: quo vadis, świecie?

Dlaczego humor millenialsów jest taki dziwny?

X

O tym, jak media korzystają z memów, choć nie do końca zdają sobie sprawę, że te rządzą się własnymi prawami.

O tym, że istnieją memy, każdy wie. Są już stałym elementem kultury, a niektórzy nazywają je nawet sztuką. Wie o nich również telewizja i tzw. mainstreamowe media (płynące z głównym nurtem). Memy są popularne zwłaszcza wśród młodzieży i młodszych pokoleń. Są na poziomie tak abstrakcyjnym, że mogą już być nieosiągalne dla osób starszych. Ale wciąż docierają do młodych, którzy są główną siłą napędową rynku.

Jednak czego firmy nie zdają się zauważać, to to, że śmieszne internetowe obrazki działają trochę inaczej niż inne przejawy kultury. Memy żyją, umierają, czasami się odradzają w przypiływie ironii, zaś inne, są tak złe, że nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego, a niektóre

Gazeta Szkolna ZSŁ

Redakcja w składzie:

Anna Łowicka (red. naczelna), Konrad Miękowski (skład),
Jan Kuśmierczyk, Paweł Hadrian, Michał Janas, Paweł Otak, Patryk Brzezoń

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margines@tl.krakow.pl

www: margines.tl.krakow.pl

MARGINES

cechują się naprawdę ogromną dawką ironii, cynizmu i czarnego, niesmacznego humoru. W wielu kręgach „memiarzy” nieironiczne zamieszczanie lub śmianie się z memów martwych bądź słabych jest głupotą i należy to potępiać. No i niestety to właśnie te memy są forsowane w reklamach. Osoby starsze ich nie rozumieją, młodsze potępiają. Dlaczego więc takie reklamy istnieją? Z braku wiedzy na temat kultury internetowej, która zmienia się jak w kalejdoskopie. To, co było popularne dwa miesiące temu, dziś będzie już nieaktualne. Są jednak memy, które z pewnych przyczyn są długowieczne. Są to np. memy oparte na grach wideo, które żyją tak długo, jak długo żyje gra. Czasami to same gry stają się memami. Tylko, że jest to już bardzo dziwny i niezrozumiały rodzaj humoru. Nawet ci, którzy się z niego śmieją, tego nie rozumieją. Po prostu są pewne wzorce, które w „sztuce internetowej” przyjęte zostały za śmieszne. Nikt tego nie kwestionuje.



Zatem czy humor pokolenia Y, a nawet już Z jest dziwny? Owszem, jest. Czy to źle? Nie. Czy to źle, że ludzie ze starszych pokoleń próbują go zrozumieć? Też nie, aczkolwiek udawanie, że rozumie się rzecz, której się w istocie nie rozumie, jest po prostu śmieszne i głupie. Używanie przedawnionych zwrotów, które nie występują już w języku młodzieżowym, używanie memów popularnych dekadę temu - to wszystko naraża firmy na pośmiewisko i wywołuje skutek wręcz odwrotny do promocji. Pierwszy przykład firmy, która rzeczywiście „robi to dobrze”, to sieć amerykańskich restauracji Wendy’s. Tweety pochodzące z oficjalnego konta tejże sieci są dobrze znane wśród „memiarzy”. Ktokolwiek pisze te, posty powinien dostać podwyżkę.

Jednak to nie tylko telewizja próbuje zaistnieć w Internecie. Czasami to Internet pcha się do telewizji. Nie szukając daleko: w październiku ubiegłego roku wystartowała stacja Polsat Games, poświęcona grom i anime. Swoją program na tejże stacji dostał Bartek Sitek, znany szerzej jako Generator Frajdy. Udało mu się przenieść humor prezentowany na jego kanale na YouTube do realiów telewizyjnych i wychodzi to naprawdę moim zdaniem dobrze. Na koniec nasuwa się następujący wniosek: Internet i telewizja to dwa zupełnie różne wymiary. Kiedy jedno

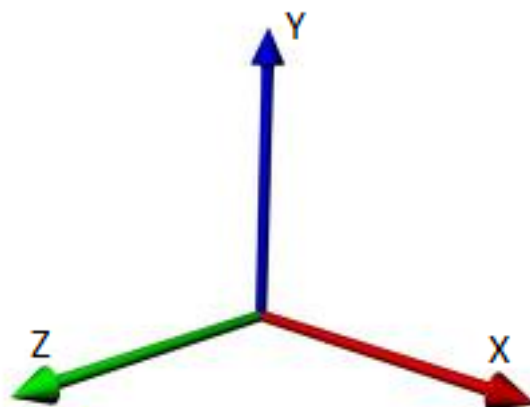
wpycha się z buciorami do drugiego, nie wychodzi z tego zazwyczaj nic dobrego. Zazwyczaj, bo zdarzają się maleńkie perełki. Jednak, jeśli firmy i korporacje chcą celować w młodszych konsumentów w ten sposób, to powinni odświeżyć swoje bazy danych i poszperać trochę głębiej w tej czarnej wirtualnej dziurze.

Teoria względności napadu

Jan Kuśmierczyk

Einstein stwierdził kiedyś, że czas jest względny, ale czy to jedyny taki przypadek?

Napady na bank towarzyszą społeczeństwu od czasu pierwszych lokat. Znalazły też swoje zaszczytne miejsce w produkcjach filmowych, komiksach, jak i również w grach komputerowych. Pytanie tylko, czym jest taki napad? Jakie uczucia targają napadającym i napadanym. Pytania zgoła proste, ale nie tak oczywiste, jak się wydają na pierwszy rzut oka. Ja koncepcję napadu widzę jako rzecz względną. Wyobraźcie sobie klasyczny napad. Zamaskowany zbir ze swoją bandą wparowuje do banku i żąda pieniędzy. Teraz trochę tutaj namieszamy. Co jeśli nasz kochany przestępca zmieniłby kierunek napadu. Ot wielka tajemnica, wystarczy poszperać przy wektorze napadu - to wszystko, czego potrzeba, by stały się rzeczy niestworzone. Jeśli potencjalny napadający powstrzyma się od aktu przestępstwa, ze stoickim spokojem wybije okno lub witrynę lokalu i wyskoczy na ulicę, to cisną mu się na usta jakże proste słowa: „To jest wypad!” Dotarliśmy w ten sposób do wypadu, zmieniając jedynie wektor naszego napadu horyzontalnie. Nie myśleliście chyba jednak, że to wszystko? Teoria względności napadu obejmuje również zmianę wektora wertykalnie, bo cóż to za napad prowadzony z dachu budynku? Otóż, drodzy Czytelnicy, mamy tu do czynienia ze spadem. Występuje również jego pokrewna wersja, kiedy cel porusza się bezwładnie. Mówimy wtedy o opadzie. To ważne, żeby rozróżnić te dwa rodzaje napadów, ponieważ mimo tego samego wektora ten drugi używa wyłącznie mojej ulubionej siły, to jest grawitacji. Rodzina napadów jest bogata w rozmaite rozwiązania. Jest również takie, gdzie całkowicie pozbywamy się wektora napadu i otrzymujemy pad. Napadający w tym wypadku leży bezwładnie na ziemi. Dlatego nie bójcie się dowodzić waszych własnych napadów. Teoria względności napadu to szerokie spektrum, które tylko czeka na dalsze zgłębianie jej tajemnic.



Jak podrywać **SEXY** laski

Paweł Otak

Pewnie choć raz każdy z nas zadał sobie to pytanie, ale nikt nie znał odpowiedzi. Dlatego dziś pokażę wam, jak powinno się budować relację z picią piękną.

Kolejne walentynki spędzasz w domu sam i narzekasz, że wszystkie zakochane pary są głupie, ponieważ ulegają temu komercyjnemu świętu? Może po prostu brakuje ci ciepła drugiej osoby? Nie oszukujmy się - wiem, że skoro jesteś tutaj, to prawdopodobnie nie jest z Tobą najlepiej. Jednakże, nie martw się! Dzięki wiedzy zdobytej u miłosnych guru z Internetu postaram się pomóc, dając ci kilka elementarnych rad, które na pewno pomogą w każdej relacji damsko-męskiej.

JAK PODRYWAĆ **SEXY** laski

Zanim zaczniemy, musimy sprawdzić twój tok myślenia, stawiając pytanie: „Kim jest kobieta?”. Większość z was ma w głowie obraz wspaniałej i delikatnej osoby, mogącej być dla również najlepszą przyjaciółką, a nie tylko **SEXY** laską... W ten sposób popełniłeś pierwszy kardynalny błąd. Odpowiedź przedstawię w dalszej części tego poradnika.

Fundamentalną sprawą, o którą musisz zadbać, jest bycie atrakcyjniejszym. Nie powinieneś posiadać indywidualnego stylu jak i dawać ponieść się dziwnej modzie. Jesteś w końcu mężczyzną, powinieneś ubierać się najbardziej męsko jak tylko się da! Bierz przykład z najlepszych - chociażby z hawajskiego aktora, Jasona Momoa. Niestosowanie się do tej rady możesz przypisać brakowi zainteresowania, co burzy resztę idealnego planu przygotowanego przeze mnie.

Następna rzecz to jak najlepsze pierwsze wrażenie. Według badań statycznych przeprowadzonych na najlepszych instytutach w Stanach Zjednoczonych, masz tylko cztery sekundy, aby zabłysnąć. W tym czasie musisz niezręcznie się przedstawić i opowiedzieć jakiś żart z Internetu, a do tego uśmiechać się najlepiej cały czas.

Czeka nas teraz najtrudniejszy etap - rozmowa. Na początku postawiłem pytanie, przy którym większość z was pewnie się skompromitowała, więc teraz dam wam rozwiązanie. Kobieta jest jak kartkówki z Debiana u profesor Ślusarczyk - musisz po prostu wiedzieć, co wpisać w terminal, aby zdobyć dziesięć na dziesięć punktów. W odpowiednio poprowadzonej konwersacji stawianie jej w sytuacjach podbramkowych, prawienie zobowiązujących komplementów oraz inicjowanie kontaktu fizycznego sprawi, że będzie zobligowana do bycia twoją **SEXY** laską.

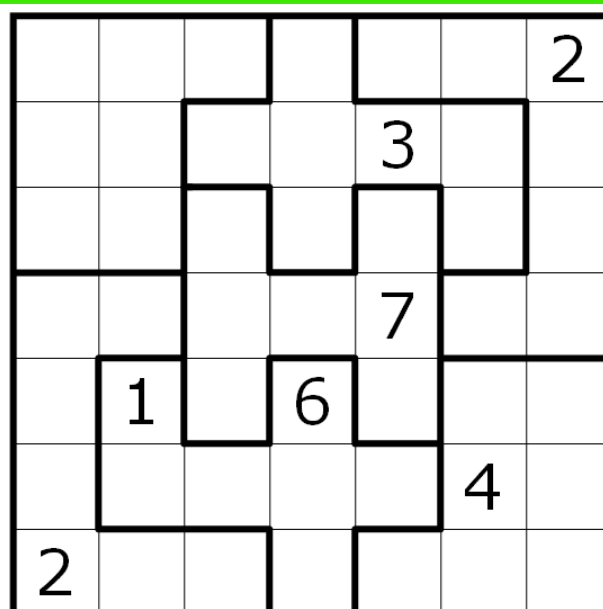
To wszystkie najważniejsze rady, które udało mi się zebrać podczas moich poszukiwań. Według ekspertów ten plan działania sprawdza się w każdej sytuacji i wobec wszystkich kobiet, ponieważ ich zdaniem każda jest identyczna, a tak na prawdę taka relacja nie wymaga angażowania się intelektualnie lub emocjonalnie. Jednak zauważyłem, że bardzo częstym zabiegiem stosowanym przez ekspertów jest rzekanie się skuteczności wszystkich wcześniej udzielonych wskazówek, co możemy nazwać jawną hipokryzją. Z racji, że pragnę samemu zostać takim guru miłosnym, jak panowie z serwisu YouTube, zostawiam was z zerową pewnością, czy którakolwiek z tych rad zadziała.

Alita na wielkim ekranie

Paweł Hadrian

Drodzy Państwo, zapraszam na Złomowisko. Znowu.

Miesiąc temu pisałem w „Marginesie” tekst o komiksowej wersji „Ality”. Ekranizacja rzeczonego komiksu miała premierę jeszcze przed opublikowaniem poprzedniego numeru naszej gazety. Prawdę mówiąc, do kina szedłem z dość sceptycznym nastawieniem, pamiętając jeszcze niesmak po ostatniej głośnej hollywoodzkiej adaptacji japońskiego komiksu, czyli „Ghost in the shell”. Jednak na sali spotkało mnie miłe zaskoczenie. Zaczniemy od tego, że film jest bardzo ładny. W bardzo szczegółowym otoczeniu widać rękę Jamesa Camerona, który w prawdzie był w tym przypadku tylko scenarzystą, jednak z materiałów udostępnionych przez twórców wiemy, że miał on duży wpływ na tworzenie świata, w którym dzieje się akcja. To, co jest niewątpliwym atutem filmu, zaburza jednak nieco koncepcję pierwowzoru. Złomowisko w produkcji Roberta Rodriguez jest kolorowe, pełne życia i ledwie przypomina brudną dystopię pierwowzoru. Kilka tego typu zmianami złamano tu styl cyberpunku na rzecz nieco bardziej medialnego i optymistycznego nastroju świata. Fabuła jest dosyć wiernie przeniesiona na ekran, aczkolwiek pojawia się kilka nieścisłości względem oryginału. Uważny widz może też dopatrzeć się kilku niekonsekwencji przyczynowo-skutkowych. Oczywiście produkcja musiała też zostać nieco zamerykanizowana ku ucieście gawiedzi. Stąd też kilka imion zostało zastąpionych bardziej swojskimi dla języka pięćdziesięciu stanów, a także zły i brzydki antagonistą zyskał przezwisko brzmiące dość wschodnio-słowiańsko. Pomijając jednak te niechlubne niedociągnięcia, film ogląda się dobrze. Nie jest to może rewolucyjne dzieło, ale widać włożoną weń pracę zarówno ze strony aktorów jak i pozostałej części ekipy filmowej. Na szczególną uwagę zasługuje bardzo dobre rozłożenie akcji. Film trwa tylko dwie godziny, ale wydaje się dłuższy, jednak nie dlatego, że się dłuży, a z uwagi na umiejętne przeplatanie wartkiej akcji z momentami, względnego, spokoju. Podsumowując, jeżeli liczyliście na dzieło w klimacie klasycznego cyberpunku, muszę was zmartwić, to nie to, ale za to jest to dobra propozycja na piątkowy wieczór. Niegłupie, ale też niezobowiązujące kino akcji, w przyjemnej wizualnie oprawie.



Na guziki pasmanterii krakowskiej [404]

Te łączenia - za które krawiec hojnie daje,
I są popularne poprzez wszystkie kraje,
To guziki, silniejsze niż sam Herakles,
Co trzymać się będą po sam świata kres.
Lecz napy, które łatwiejsze są do ubrania,
Manipulacje nimi to piękna sztuka klikania.
Zaś zamek, niczym forteca jest blankowany,
Uwielbiają go wszystkie nowoczesne pany.
Ponad te łączenia i zwykły rzep się wybija,
Gdyż szybkością obsługi tamte przebija.
Jednak rzep także się szybko kompromituje,
Gdy włosy i swetry w kilka chwil rujnuje.
Zamek zaś, jak forteca, co wojska ścina,
Bardzo sam uwielbia skórę poobcinać.
Napy, choć przyjazne, krawców nie lubują,
Którzy, by je założyć, w młotki się fundują.
Ten zaś, co rozporek w guziki wyposażył,
Szaleństwem nad samą Lysę się odznaczył.

Recenzja Havit G1 (TWS)

Michał Janas

Czytając moje teksty, nietrudno zauważyć, że tak jak większość osób zainteresowanych budżetowymi lubuję się w konstrukcjach pochodzących z Państwa Środka, coś chyba jednak musi w nich być?

Istnieje duża szansa, że czytając nagłówek, pomyślisz: „Cóż to za firma krzak i czemu próbujesz nam ją ‘sprzedać’?” Spieszę z odpowiedzią, Havit to chiński startup istniejący już od 1998 roku, śmiało więc można stwierdzić, że posiadli całkiem duże doświadczenie w segmencie audio. Ich mała popularność wynika z dość późnego wejścia na rynek globalny, a mianowicie w Anno Domini 2017.

Dane techniczne:

- Przetworniki: Ø5.8mm tytanowe membrany
- Wspierane kodeki: HSP, HFP, A2DP, AVRCP, AAC, AptX
- Impedancja: 16Ω
- Pasma przenoszenia: 20Hz~20KHz
- Czułość przetworników: 90±3dB 1kHz/1mW
- Bateria słuchawek: 60mAh*2
- Bateria etui: 720mAh
- Waga: 6*2g (słuchawki), 59g (etui)
- Wodoszczelność: IPX5

Opakowanie i akcesoria:

Przy recenzji T5 stwierdziłem, że opakowanie całkiem skutecznie próbuje przypominać te z droższych konstrukcji. Tutaj po prostu tak jest, w środku za przezroczystym plastikiem poza słuchawkami oraz etui znajdziemy 3 pary silikonowych tipsów, 3 pary także silikonowych „profilatorów” (o, których jeszcze powiem) oraz niestety kabel micro USB typu B (oraz opcjonalnie za 20\$ więcej ładowarkę bezprzewodową).

Komfort użytkowania

Wiele osób narzeka na słuchawki Bluetooth ze względu na konieczność włączania ich przed każdym użyciem, tutaj po pierwszym sparowaniu z naszym urządzeniem słuchawki będą się z nim automatycznie łączyć po wyjęciu z etui.

Konstrukcja i wygoda

Same słuchawki wykonane są w całości z plastiku, na który zakładamy wyżej opisane „profilery”. Z boku obydwu znajdują się fizyczne przyciski z logo producenta służące do ich obsługi. Pomyślano tutaj o prawie wszystkim, pojedyncze naciśnięcie dowolnej słuchawki zatrzymuje/wznawia dźwięk lub odbiera i kończy przychodzące połączenie. Po przytrzymaniu prawej słuchawki przeskoczmy o jeden utwór do przodu, przy lewej do tyłu, a po podwójnym naciśnięciu wywołamy Asystenta Google, Siri czy też Alexę. Niestety brakło możliwości fizycznej regulacji głośności, de facto można to robić głosowo przez asystenta, ale nie oszukujmy się, nikt, podróżując autobusem, nie będzie mówił: „Hej Google, możesz pogłośnić mi muzykę?” Wracając do tematu „profilatorów”, G1 to najwygodniejsze słuchawki, z jakimi kiedykolwiek miałem do czynienia, to przez te silikonki trzymają się one w naszych uszach wyśmienicie i żadna siła nie jest w stanie ich stamtąd usunąć, a dzięki trzem rozmiarom każdy będzie w stanie dopasować je pod siebie.

Samo w sobie etui także wykonane z plastiku jest w stanie naładować nasze pchełki 6 razy do pełna, będąc przy tym dość poręcznym, aczkolwiek jego sześcienny kształt jest trochę mniej zgrabny niż np. etui T1C czy AirPodsów. Na górze znajdziemy diodę informującą o statusie ładowania, a z tyłu – jak już mówiłem – złącze microUSB typu B, co w erze standardu typu C wydaje się przestarzałe. Havit broni się jednak, oferując wersję z opcją ładowania Qi za dodatkowe 10\$.

Jakość dźwięku oraz izolacja

Tony wysokie starają się lekko trzymać z tyłu, nie są one kłujące, aczkolwiek da się je spokojnie usłyszeć. Średnica to ich najmocniejsza część ciepła i obszerna, wokale brzmią bogato, tak samo jak i wszelkiego rodzaju gitary i inne instrumenty. Można zaryzykować stwierdzenie, że jest ona lekko ciepła i basowa, ale odczuwa się to dopiero przy większej głośności. Niskie tony natomiast słyszymy zawsze i nie mówię tutaj o zalewającym nas basie, jest on raczej subtelny, aczkolwiek potrafi pokazać pazur i wprawić naszą głowę w rytmiczne kiwnięcia.

Pewnie każdy z nas widział gdzieś ten tekst: „Oh no he has AirPods, he can't hear us”. Jeżeli wypadku słuchawek Apple zwykle wyśmiewam to ze względu na ich konstrukcję, to w wypadku G1 faktycznie stajemy się odizolowani od świata zewnętrznego.

Podsumowanie

G1 to naprawdę porządny i kompletny produkt, za cenę od 79\$ (lub kolejno 89/99\$ za wersję z obsługą Qi i ładowarką Qi) dostajemy dobrze brzmiące, bardzo wygodne, sportowe słuchawki z eleganckim dizajnem, wodoszczelnością i wytrzymałą baterią, albowiem podczas moich testów nie udało mi się ich ani razu rozładować, ładując je średnio raz na dwa dni. Dostępne są one na stronie producenta w trzech wersjach kolorystycznych (czarne, czarno-czerwone, białe) z darmowym globalnym transportem, który w moim wypadku wyniósł około 8 dni.



Współcześni jeźdźcy apokalipsy

AugRev

I widziałem, a oto koń biały, a ten, który na nim siedział, miał złote awiatory, a ciało jego pokryte było tatuażami i bliznami

Wielu malkontentów narzekało na nowego „Far Cry” jak i całe studio Ubisoft. A bo to odgrzewany kotlet, a bo to chcą pieniądze za przerobioną mapę i zadania. Mówią, że brak w tym świeżości i nowości, że wszystko to już gdzieś było. I może mają rację. Ale skoro seria wciąż gromadzi fanów sprawdzonej formy wokół siebie, to po co to zmieniać? Jednak szósta odsłona serii wprowadziła nieco nowości na utarty już szlak. A ja bawiłam się na tym szlaku doskonale.

Gra opowiada historię bezimiennego policjanta, którego zadaniem jest aresztowanie samozwańczego Ojca – przywódcy kultu „Bramy Edenu”, siejącego spustoszenie i strach w hrabstwie Hope, w stanie Montana. Po raz pierwszy w serii mamy do czynienia z osobą, którą sami kreujemy (choć nie mamy jako gracze zbyt dużego wyboru) i bez imienia. Mapa jest największą z dotychczas prezentowanych. I moim zdaniem jest najładniejsza ze wszystkich. Podzielona na trzy obszary: góry Whitetail, rzekę Henbane oraz dolinę Holland, naprawdę zapiera dech w piersiach, mimo swojej sztuczności.

Prawdą malkontentów jest to, iż jest to „Far Cry”. I to czuć. Ale czy to źle? Przy (prawie) każdej odsłonie serii bawiłam się świetnie. Dostajemy dużo broni i dużo celów. Drzewko umiejętności, mapę pełną znajdziek i aktywności pobocznych (nawet całkiem zróżnicowanych), szereg pojazdów jeżdżących, latających i pływających oraz towarzyszy, którzy w innej postaci pojawili się już w poprzedniej odsłonie serii – Primal. Jednak tu możemy zwiedzać hrabstwo z dwoma towarzyszami (po odblokowaniu odpowiedniej umiejętności) spośród dziesięciu. Pomagać w walce mogą nam zwierzęta jak i nie do końca zdrowi psychicznie ludzie.



Zawsze uważałam, że mądra głowa, która projektuje w studiu charakterystyk poszczególnych postaci, zwłaszcza antagonistów, zna się na rzeczy. Wszystkie ważniejsze dla fabuły postacie mają jakieś osobowości, można się zainteresować ich losem, ich historiami i motywacjami. A nasi wrogowie, którzy nie wiadomo z jakiej przyczyny w każdej odsłonie byli psychopatami, również dysponowali interesującym zapleczem fabularnym. Nie inaczej jest tutaj. Z tym, że stawiamy czoła nie jednemu złemu, a całej chorej rodzinie Seedów. Każdy z nich związany jest z osobną historią. Przez całą grę towarzyszyło mi zmienne uczucie, że wszystko, co robią, naprawdę jest opaczny rozumieniem woli Bożej, a ich zniekształcona umiejętność postrzegania rzeczywistości naprawdę podpowiada im,

że czynią dobrze, mordując ludzi, przeprowadzając ich przez piekło, torturując. Z drugiej zaś strony miejscami te metody nie miały zbyt mocnego uzasadnienia poza czerpaniem sadystycznej radości z krzywdy innych. Były też inne rzeczy, które nie miały sensu. W pewnym momencie wyglądało to tak, jakby owej mądrej głowie skończyły się pomysły na rozwój postaci i jej motywacji. A zakończenie pozostawiało w głowie tylko większy mentlik i również... brakowało mu sensu.

Zakończenie pozostawiło delikatny niesmak, jednak wciąż uważam, że „Far Cry 5” to naprawdę zająca gra, doładowana „amerykańskością” i dużą ilością rozwałki. Jeśli ktoś polubił się z poprzednimi odsłonami, z tą polubi się jeszcze bardziej. Bo to sprawdzona forma w naprawdę dobrym i odświeżonym wydaniu.

							8	
	1							
				1				
		9	5					
		2		6		5		4
4	8					2		9
					3			8
		6		2				
	3	8		5				

		4	3			1	8	
5			8		2			
							7	
3	1							
		6				9		
							6	5
	6							
			9		4			6
	9	2			6	7		